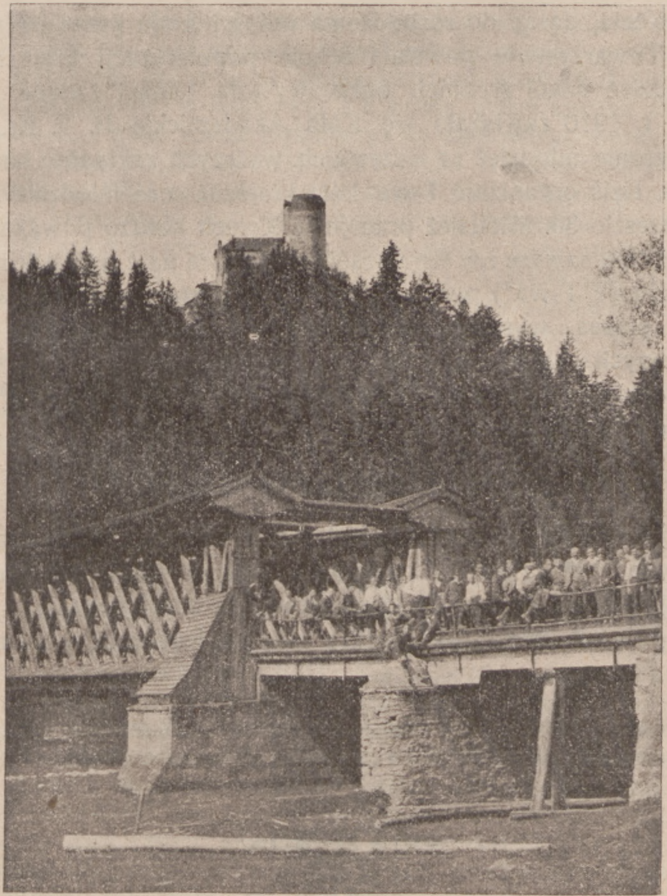
ROK VII. GRUDZIEŃ 1926. Nr. 10.

Wyleć ptakiem z swego gniazda,
Miłać będzie taka jazda.
W. POL.

ORLI LOT

MIESIĘCZNIK KRAJOZNAWCZY

ORGAN KÓŁ KRAJOZNAWCZYCH
MŁODZIEŻY POLSK. TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO



ZAMEK W NIEDZICY I MOST NA DUNAJCU.
Widok od strony Czorsztyna.

Dwudziestolecie Polskiego Tow. Krajoznawczego.

Z poczuciem spełnionego czynu i z dumą spoglądać może Polskie Tow. Krajoznawcze na ubiegłych dwadzieścia lat pracy, rozpoczętej w czasach niewoli i ucisku. Ustawa Towarzystwa, zatwierdzona przez Warszawski Urząd Gubernjalny dnia 27 października 1906, zakreślała sobie jako cel:

„Gromadzenie danych naukowych, dotyczących ziem Polskich" i „szerzenie wśród ogółu a szczególnie wśród młodzieży krajoznawstwa polskiego".

W tym też kierunku rozwijało swą pracę Towarzystwo w ciągu dwudziestolecia, dążąc do rozbudzenia miłości kraju przez poznanie go.

Przy Towarzystwie powstała sekcja popularyzacji krajoznawstwa, gdzie młodzież szkół średnich opracowywała tematy zadane, lub wybrane. W r. 1916 zawiązało się Koło Akademickie P. T. Kr., łączące w swem gronie młodzież ze wszystkich wyższych zakładów naukowych Warszawy. Dziś organizuje T-wo koła krajoznawcze młodzieży, których liczymy przeszło 30. Młodzież pracuje w Kołach bardzo poważnie, zbiera materjały krajoznawcze i w ten sposób powiększa nasz dorobek naukowy.

Działalność T-wa[1]) pozatem jest wielostronna: wykłady, wycieczki, bibljoteki, muzea, wystawy, schroniska, oto środki, któremi dąży do realizacji swych celów.

Gdy mówimy i myślimy o Polskiem Tow. Krajoznawczem, musimy wspomnieć i imię czcigodnego prezesa Towarzystwa:

Aleksandra Janowskiego,

który w tym roku pozostawia za sobą 29 lat pracy krajoznawczej. Jego praca przygotowała grunt pod założenie Towarzystwa. On skupił koło siebie i organizował szeregi krajoznawców, On uczył poznawać i kochać Polskę, On sławił imię Polski między obcymi, Jego czcić i brać za wzór winniśmy.

---

[1]) Specjalny zeszyt „Ziemi" będzie poświęcony całokształtowi pracy T-wa — do niego więc odsyłamy Czytelników po szczegółowe dane (Red.).

† Ś. p. Stanisław Sobiński.

Młodzież krajoznawcza poniosła stratę w osobie wielkiego orędownika krajoznawstwa, ś. p. tragicznie zmarłego kuratora Stanisława Sobińskiego. „Orli Lot", na którego kartach przebija się idea organizacji młodzieży krajoznawczej, ma szczególny obowiązek poświęcić Zmarłemu słowa wspomnienia. W trudzie organizacyjnej pracy i wzajemnej między młodzieżą wymiany myśli, ś. p. kurator Sobiński był jednym z pierwszych, który zrozumiał cele „Orlego Lotu" i znaczenie czasopisma dla „rozbudzenia szczerego umiłowania rzeczy ojczystych". To gorliwe zajęcie się naszem pismem oraz wszelką akcją krajoznawczą wśród młodzieży było tem głębsze u Zmarłego, że sam był krajoznawcą-geografem i czynnie współdziałał w pogłębieniu wiedzy o Polsce wśród szerokich warstw społeczeństwa polskiego.

Ś. p. kurator St. Sobiński urodził się w roku 1872 w Złoczowie, a po skończeniu średniej szkoły poświęcił się studjom historyczno-geograficznym na uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Jako profesor o wybitnem uzdolnieniu pedagogicznem znany był dobrze w Małopolsce, szczególnie w Krakowie i Lwowie, gdzie spędził dłuższy czas. Po powstaniu Polski został powołany na stanowisko bardzo odpowiedzialne kuratora okręgu lwowskiego i urząd ten zaszczytny sprawował od 24 stycznia 1921 r. aż do chwili swego tragicznego zgonu. Podobny do rycerzy kresowych, stał bacznie na straży interesów Rzeczypospolitej oraz starał się by młodzież, czy nauczycieli, swej oddanych opiece, do pracy obywatelskiej przygotować dobrze. A jakaż jest główna cecha dobrego obywatela? Znajomość warunków bytu państwa i stąd płynąca chęć współpracy twórczej dla dobra społeczeństwa. Tym warunkom odpowiedział ś. p. kurator Sobiński w zupełności czy to przez swą działalność urzędową, czy twórczość pisarską. Krajoznawczy ruch wśród nauczycieli i młodzieży popierał bardzo silnie, a to przez wykazywanie w urzędowych okólnikach wartości czasopism krajoznawczych, czy przez pomoc w organizacji wycieczek młodzieży po kraju zwłaszcza w czasie wakacyj.

A już niespożytą zasługą ś. p. kuratora Sobińskiego jest oddanie w ręce młodzieży Geografji Polski — podręcznika przeznaczonego do użytku szkół średnich, ale o tak bogatej i pełnej treści, że w rękach każdego oświeconego Polaka znaleźć się powinien. Myśl napisania tego podręcznika wyrosła na podłożu troski o polską szkołę i o stan wiedzy o Polsce w umysłach młodzieży. Na licznych wizytacjach w szkole polskiej przekonał się ś. p. Kurator, że nauka geografji traktowana jest martwo, bez związku z życiem. Zapragnął tchnąć ducha obywatelskiego w naukę tego przedmiotu. Lecz trzeba było istotnie człowieka tej miary, co ś. p. Zmarły, by zrealizować tę wielką myśl tak dokładnie i głęboko przy równoczesnem sumiennem spełnianiu swych zawodowych obowiązków na posterunku szarpiącym nerwy, wśród ciężkich stosunków narodowo-politycznych, w olbrzymim, bo trzy województwa obejmującym, okręgu szkolnym. W tym roku ukazało się drugie wydanie Geografji Polski, w którem ś. p. kurator Sobiński wprowadził wiele dodatnich zmian, szczególnie uwzględniając najnowszy dorobek wiedzy geograficznej oraz metod nauczania. Na silne podkreślenie zasługuje

strona ilustracyjna książki, oddana bardzo wyraźnie pod względem druku a treścią dobrana nader geograficznie. Każdy krajoznawca w krajobrazach, w tej książce zamieszczonych, znajdzie bogatą treść do analizy i zachętę do poznania na własne oczy piękna ziemi polskiej. Bezsprzecznie podręcznik ś. p. kuratora Sobińskiego, ujmujący krótko zagadnienia Geografji Polski jest jednym z najlepszych, a przez tragiczny zbieg okoliczności, jakby testamentem Zmarłego, z którego kart mamy czerpać my krajoznawcy, podnietę do wytężonej pracy nad poznaniem kraju i dobrem spełnieniem swej służby obywatelskiej.

Kraków, listopad 1926. *St. Niemcówna.*

SEWERYN UDZIELA.

Św. Mikołaj w Krakowie przed 70 laty.

Zabawki nasze dziecinne niegdyś były to dzieła miejscowego kunsztu, dokonywane zwykle za pomocą prostego kozika i powlekane jednostajnemi jaskrawemi barwami, albo najwięcej tradycyjne norymberskie wyroby, niewiele się różniące od tamtych. Mniejsza także była ich rozmaitość. Drewniane konie i pajace pociągane za sznurek, gliniane pawie i koguty z pozatykanemi w ogonach piórami, małe wózeczki ciągnione przez parę drobniutkich czerwonych koników, kołyski, będące wiecznem powtórzeniem w miniaturze tych, w jakich do dzisiaj po wiejskich chatach usypiają dzieci, wreszcie lalki postrojone za Krakowiaków, Krakowianki i świętych Mikołajów, i to był oprócz bębnów, pałaszy i cynowych żołnierzy, prawie cały zasób zabawek, jakiemi rodzice obdarzać mogli swoich ulubieńców. Dodajmy do tego, że rzeźba i rysunek tych przedmiotów były całkiem niewymyślne i najczęściej w rażącej sprzeczności z anatomją tak ludzi, jak zwierząt. Nie znano jeszcze wówczas albo przynajmniej tylko bardzo bogaci znać je mogli, tych wyrobów, któremi dziś zalewa nas zagranica, z kauczuku, z masy papierowej, z drzewa lub z metalu, wykończonych z drobiazgową, a nieraz prawie artystyczną dokładnością; nie znano jeszcze wszystkich tych zabawek i cacek, które, będąc przeznaczone dla dzieci, zdolne są zająć nieraz ciekawość dorosłych ludzi i ich gusta estetyczne w zupełności zadowolić.

Kiedy się zbliżał dzień św. Mikołaja, zjawiały się pod kościołem Marjackim, od strony św. Barbary, stragany, na których wszystkie te tak zachwycające dla dzieci przedmioty systematycznie i w licznych okazach były porozkładane. Właścicielami tych straganów były po większej części kobiety, niczem od zwykłych przekupek nie różniące się i w innej porze pospolicie sprzedawaniem bułek, kukiełek, jabłek i t. p. trudniące się. I dzisiaj pojawiają się jeszcze takie stragany, ale coraz to ich mniej, bo handel odebrały im sklepy galanteryjne, magazyny nowości i bazary, dostarczające wymyślnych i oczy nęcących cacek.

A jednak i owe straganowe zabawki nęciły i bardzo niegdyś nasze oczy! Ileż to razy na śniegu i mrozie nawet (bo i zimy były wtedy jakieś ostrzejsze) wyszedłszy ze szkoły, staliśmy przed niemi i z wytrzeszczonemi oczyma, nie mogąc się dosyć napatrzeć tym pięknym rzeczom, łechtani nadzieją, że jeśli nie wszystko, to przynajmniej część jakaś z tego w dniu uroczystym nam się dostanie. Stały rzędem, jak

wojsko w szeregach, na tych straganach gliniane baranki i takież, polewane glazurą, albo też drewniane gwiazdki; leżały stosami pozłacane i posrebrzane jabłka i włoskie orzechy; obok nich prostowali się jak przed frontem, drewniani, pięknie pomalowani żołnierze piesi lub na koniach, a dalej błyszczały groźnie, chociaż także pozłacane, ale zawsze dla oka nieprzyjemne rózgi. Było tego i więcej jeszcze tych dziecinnych skarbów, które dzisiaj wyszły nam już z pamięci, były i pierniki w najrozmaitszych kształtach serc, gwiazd, figur różnorodnych, ale nic tak nie przykuwało uwagi i nie obudzało pożądliwości, jak sam św. Mikołaj, t. j. lalka z twarzą białą i rumianą, jak u dziecka lub dziewczynki, ale dodająca sobie powagi brodą, jak śnieg białą, bo zrobioną z waty, opierająca się na pastorale i przybrana w infułę i ornat bogaty z jaskrawego ze złotemi kwiatami papieru. Takiego św. Mikołaja dostać i posiadać było szczytem nadziei!

W wigilję tego patrona kładliśmy się też spać z tem błogiem uczuciem, że nazajutrz obudzimy się szczęśliwi. Nieraz szło na przetrzymanego, ażeby złapać św. Mikołaja na uczynku, kiedy swoje dary będzie nam podkładał pod poduszki i wcześniej, niż na drugi dzień rano dowiedzieć się, co też nam przyniósł. Oczy się zamykały, gdy przyszła godzina zwyczajnego snu, aleśmy je gwałtem otwierali. Zwykle jednak nie przydało się to na nic, natura brała górę nawet nad podrażnioną ciekawością i rozbujałą fantazją i sen sklejał powieki, zanim zjawił się św. Mikołaj. Niekiedy tego dnia szło się wcześniej do łóżka, niż zwykle, aby skrócić sobie chwile oczekiwania, a choć w późniejszym nieco wieku już się wiedziało, kto jest tym św. Mikołajem i skąd się Mikołajki pod poduszkami biorą, nie odbierało to jednak uroku niezwykłej nocy, po której czekała nas miła niespodzianka.

Nie trzeba dodawać, że pierwszą myślą nazajutrz rano było sięgnąć pod poduszkę. Kto tam co znalazł, tem się cieszył i to pokazywał drugim, przypatrując się nawzajem ich podarunkom. Jakiekolwiek były te prezenta, rózga złocona zwykle znalazła się także przy nich, choćby nie jako narzędzie zasłużonej kary, ale jako przestroga. Drugą poważną rzeczą między niemi była także u dzieci, które naukę miały dopiero rozpocząć, albo od niedawna rozpoczynały, tak zwana *Groszówka,* to jest, elementarz oprawny podobnym papierem, jakiego na ornat i infułę św. Mikołaja używano, zaczynający się od A, B, C, a kończący sławną niegdyś między dziećmi, a dziś prawie już zapomnianą piosenką, streszczającą w sobie najważniejsze ówczesne zasady pedagogiczne:

Różdżką złe dziatki Duch Święty bić radzi,
Różdżka bynajmniej zdrowiu nie zawadzi,
Różdżka popędza rozumu do głowy,
Uczy pacierza, a broni złej mowy i t. d.

JÓZEF WARSICKI (Jasień pow. rawski).

Wyrób wełniaków ludowych.

„Piękna nasza Polska cała“, mówił Wincenty Pol, ale cóż piękniejszego nad lud nasz ubrany w swoje odświętne stroje, w barwne wełniaki?

A strój ten tem cenniejszy dla nas, że materjał nań wyrabiany bywa

w chatach wiejskich. Pamiętają rodzice, wydający córkę zamąż, aby dać jej nietylko całe skrzynki wełniaków, ale owce i len dla przykładu, aby i ona nie rozstawała się z tkackiemi krosnami. Ileż to pracy kosztuje wełniak! Trzeba owce wyhodować, aż im wełna podrośnie, potem myje się owieczki, strzyże, a wełnę zawozi do miasta, celem „zgremplowania“ jej. Potem gospodynie i dziewczęta przędą tę wełnę na „kółkach“ i „prześlicach“, a przędzę zwijają z wrzecion i „śpulek“ na „motowidła“, tworząc t. zw. „przędziona“.

Przędzę piorą w wodzie z sodą, a potem wkładają na godzinę do garnka, w którym gotuje się farba. Na każdy funt wełny przypada po dwa łuty (25 i $^{25}/_{33}$ gr.) farby i dwa soli farbiarskiej (glauberskiej). Do czarnej barwy dodają też wywaru z kory olchowej. W ten sposób farbują trzy kolory: czarny, niebieski i zielony. Najczęściej jednak farbują wieśniaczkom przędzę miejscy farbiarze w Tomaszowie, Rawie, lub Opocznie (we wsi Studziannie od r. 1900 wytrawny farbiarz, Jan Worach). Potem wieśniaczka snuje na „snowadle“ lniane nici „ukrosune“ na czarno. Od ilości tych nitek zależy szerokość osnowy, a od ich długości jej długość. Po zdjęciu nici ze snowadła nawija się je na „nowój“ krosien lub staciw i wtedy zwą się postawem. Nici te przeciągnięte są przez druciane lub sznurkowe „nicielnice“ i przymocowane do nawoju staciw lub do „spuny“ warsztatu.

Do utkania jednolitego w barwie lub pasiatego materjału używa „krośniarka“ tylko dwóch nicielnic, w które naprzemian to w jedną, to w drugą nabiera nici, jak wskazują „rozplatace“ lub „retki“. Ale najciekawszą odmianą wełniaka rawskiego i opoczyńskiego jest wełniak tkany w t. zw. „koziołki“, przy pomocy czterech, sześciu, a nawet ośmiu nicielnic. Wełniak taki posiada na tle barwnych pasków niejako grube ściegi z kolorowej wełny, następujące po sobie w równych odstępach. Te ściegi zwane „bąkami“ wykonywa niekiedy „krośniarka“ przy pomocy iglicy.

Jakżeż odbywa się samo tkanie? Krośniarka naciska nogami „punoze“ (ponoże), przez co nicielnice odchylając się od siebie, tworzą między lnianemi nićmi (postawem) lukę dla „cyłonka“ (czółenka), które ma przebiec przez nią i pozostawić po sobie wełnianą nitkę. Skąd czółenko wysnuwa wełniane nici? Przy pomocy „wijadeł“ zwija „krośniarka“ przędzę z przędzion w kłębki, a z nich na „potaku“ wije „cewki“, które wkłada do „cołka“, skąd „cołynek“ wysuwa je podczas tkania. Po każdem przesunięciu czółenka zbija się wełnianą tkankę za pomocą „płochy“ umieszczonej w „bidłach“ staciw. Czyni się to na to, aby nie było widać nici postawu, lecz tylko wełniane nici wątka. Gdy swego wyrobu przędza „kosmaci się“ i nie daje równej powierzchni tkaninie, smaruje się ją przy robocie kleikiem z siemienia lnianego lub gęstym barszczem.

Naczelne miejsce wśród barw wełniaka zajmuje pomarańczowa, zwana u nas niewiadomo dlaczego, ponsową. Cecha ta spokrewnia nasze wełniaki z łowickiemi. Wełniaki rawsko-opoczyńskie piękniejsze są jednak od łowickich, dzięki większej harmonji kolorowych, wąskich pasków, poprzedzielanych od siebie miłemi dla oka akordami barw.

JERZY EPSTEIN (Kraków, Gimn. I).

Wycieczka w Pieniny.

Już oddawna zapowiadana wycieczka w Pieniny zajmowała od szeregu tygodni nasze umysły. Ważkie tu rozważano kwestje. Czy nam dopisze pogoda? Czy przyroda rozkwitła już i czy noclegi będą na czas gotowe? Jak umówiono, wyruszyliśmy w niedzielę o godz. $2^1/_2$ popołudniu, zdrowo, cało i w wyśmienitych humorach. Plecaki wypchane do ostatecznych granic, zapowiadały niezwykłe rozkosze żołądkowe, a znaczne zapasy łoju salicylowego, bandaży i t. d. miały zabezpieczać nas przed odparzeniem.

W pociągu nastrój prawdziwie studencki; wiara śpiewa, a raczej wyje nieskoordynowanie czterema głosami piosenki obozowe i nieobozowe. Droga początkowo nudna otwiera po kilku godzinach przecudne widoki na Tatry, o których wiele i zajmująco mówi jeden z profesorów, który całemi miesiącami „grasuje“ po górach. O godzinie $7^1/_2$ dojeżdżamy do Nowego Targu, entuzjastycznie witani tu przez publiczność, patrzącą na nas jak na rarogów, bo już i tu doszła nasza sława jako sławetnych mistrzów koszykówki. W pochodzie triumfalnym wkraczamy do miasta. Część udała się do bursy a część do domów prywatnych, gdzie doznała arcygościnnego przyjęcia. W bursie spała drużyna koszykowa. Przygody były tu bardzo awanturnicze. Ginęły jaśki i pierzyny, a na właścicieli, dopominających się żałośnie o swą własność, urządzało się od czasu do czasu ekspedycje karne. Szereg biało ubranych wydłużonych w cieniu nocy postaci wypadał błyskawicznie z łóżek, a wkrótce odgłos razów i jęki delikwenta oznajmiały, że sprawiedliwości stało się zadość! Po szeregu takich egzekucyj nastała względna cisza, a znużona podróżą wiara chrapała przeraźliwie. O 4 już zbudziło nas dziwnie rzeźkie, balsamiczne ale przytem zimne powietrze. Cudny widok roztoczył się przed naszemi oczyma. Złociste szczyty Tatr jaśniały przy wschodzie słońca. Powietrze czyste krystalicznie otwierało jak najszersze widnokręgi dla wzroku. Po śniadaniu o godzinie 7 udaliśmy się na dziedziniec szkolny, gdzie rozegraliśmy z tamtejszą drużyną szkolną zawody w piłce koszykowej oraz w biegu rozstawnym 4×75 m.

Po rozgrywkach obmyliśmy się, przebrali i wypoczęli, poczem żegnani nadzwyczaj serdecznie, wzniósłszy entuzjastyczne okrzyki na cześć pięknych Nowotarżanek oraz grona profesorskiego, tak dla nas wylanego, wyruszamy przez Nową Białą do Łapsz, dokąd pod wieczór przybywamy. Wiara nieco spuchnięta, bo jeszcze nie „rozchodzona“. W Łapszach niżnych składamy wieniec na grobie prof. Wiszmierskiego, zabitego przez Czechów podczas agitacji plebiscytowej dla Polski na Spiszu. Rozwścieczeni Czesi zatłukli go na śmierć pałkami a potem wrzucili do rzeki. Z pod kościoła udajemy się do urzędującego tu komisarza spiskoorawskiego p. Steinhauera z prośbą o nocleg. Przyjmuje on nas nadzwyczajnie gościnnie we własnem pomieszkaniu. Nie zazdroszczę mu zresztą jego losu, bo galimatjas, jakiśmy mu pozostawili (a było nas dobrych 40 chłopców), pozostanie mu po wsze czasy w pamięci. Najedzeni, umyci i wyświeżeni, spaliśmy nieźle a tylko wąskość miejsca stała na zawadzie. Rankiem ruszyliśmy o 6-ej w drogę, celem zwiedzenia Niedzicy i Czorsztyna. Oszczędziwszy wiele drogi dzięki mapie kie-

rownika wyprawy, doszliśmy do Niedzicy. Zamek tamtejszy, własność baronowej Salomonowej, oglądaliśmy tylko od zewnątrz i od podwórza, gdyż do wnętrza zamku właściciele nikogo nie wpuszczają. Z Niedzicy udaliśmy się po ładnym moście na Dunaju do Czorsztyna, gdzie mieliśmy może najpiękniejszą w ciągu całej wycieczki przygodę. Kto zna króla zamczyska Goszczyńskiego, z łatwością odtworzy sobie typ klucznika i opiekuna zamku czorsztyńskiego, starego Bryniarskiego. Jest to drugie wydanie Machnickiego i choć z góralska zmodyfikowane, to jednak nie mniejszą miłością do zamku się odznaczające.

Stary Bryniarski, to okaz, jakich dziś się już nie spotyka. Prosty jego umysł na skutek pochłonięcia z urzędu zbyt obszernej historji zamku czorsztyńskiego, mówiąc pospolicie, sfiksował. Ma się on za króla zamku i Polski, za Jana Kazimierza. Nas nazywał ciągle szlachtą polską, a przytem jako król, nie wstydził się jaśnie wielmożnego kierownika wycieczki ucałować w rękaw. Usiadłszy na głazie w malowniczej pozie, roztoczył przed nami historję zamku czorsztyńskiego. Opowiadanie jego przepojone zdrowym a naturalnym humorem, nieraz wprost do rozpuku nas rozśmieszało, bo też stary Bryniarski kazał polec Warneńczykowi pod Verdunem a Janowi Kazimierzowi odebrać „babę“ Chmielnickiemu, bo sam takowej nie miał, co było powodem wojen kozackich. Ale mimo tych cech komicznych okazał Bryniarski w opowiadaniu swem ogromne żywiołowe wprost ukochanie zamkowych murów, których strzeże jak oka w głowie. Polityka jego rozśmieszyła nas również. Największe jego marzenie to armata, by mógł dyktować wolę swą okolicy. Do marszałka Piłsudskiego nie czuje wiele sympatji; zato gen. Hallera ukochał ogromnie. Znamiennem jest, iż na zakończenie upomniał nas, byśmy nie zatracili dziedzictwa swych przodków i wiernie ojczyznę ochraniali. Z dziwnem uczuciem żegnaliśmy starego oryginała. Mimo całej jego komiczności wzruszyła nas jego powaga, gdy mówił o ojczyźnie lub o zamku. Widać tu było gminną duszę górala uszlachetnioną samodziałową lekturą i gorącem ukochaniem narodu oraz jego dziedzictwa architektonicznego.

Z Czorsztyna wyruszyliśmy prawym brzegiem Dunajca do oczekujących nas w Niedzicy tratew, na których przepłynęliśmy a raczej mieliśmy przepłynąć przełom Dunajca, by wieczorem przybyć do Krościenka, gdzie czekał nas nocleg u gościnnego plebana. Ale los pokierował naszą nawą inaczej. Szczególnie nasza tratwa, t. j. ta, na której ja biłem się z falami Dunajca, doznała bardzo awanturniczych przygód. Rozbiła się bowiem aż dwa razy. Drugi raz już na przełomie Dunajca w przecudnej okolicy górskiej tuż koło schroniska Sienkiewicza. Za to atoli danem nam było zetknąć się bliżej z brzegami Dunajca od tego miejsca aż prawie do samego Krościenka, bo na przestrzeni 10 km. Tylko dwie z 5-ciu tratew dojechały cało, reszta rozbiła się tuż koło Krościenka.

Tu oczekiwał nas nasz dyrektor, który, upewniwszy się, żeśmy zdrowi i cali, odjechał w nocy, a my, setnie się w dużej stodole na sianku wyspawszy, rankiem dnia następnego wyruszyliśmy w najcięższą drogę przez Szczawnicę, Prehybę do Rytra. Zbłądziwszy nieco w górach, doszliśmy w końcu po przejściu przeszło 40 km do Rytra. gdzie znużone nasze cielska i zgłodniałe żołądki gościnnie przyjęła tamtejsza karczma. Już finisz tej podróży z Prehyby do Rytra oraz sam marsz



DRZEWORYT LUDOWY J. HRYŃKOWSKIEGO.

na Prehybę dawał się nieco odczuć, bo niektórzy z nas mieli mocno odparzone nogi. A tym nawet aromatyczny (brr!) łój salicylowy niewiele pomógł. Ale humory w Rytrze były świetne, a najadłszy się do syta, bo głodni byliśmy jak wilki, trzęśliśmy posadami wioski przez długie a przeciągłe śpiewy chóralne.

Zapomniałem jeszcze dodać, iż w drodze na Prehybę zwiedziliśmy także Szczawnicę, gdzieśmy popijali Józefinkę i Stefana, których cała masa, jako iż darmo je dawano, spoczęła w naszych żołądkach.



Bryniarski opowiada historję Czorsztyna wśród ruin zamku.

O godz. 10·25 nadszedł wreszcie pociąg, który nas uwiózł do Krakowa. Z żalem żegnaliśmy ten cudowny nasz teren 4-dniowego działania, a groźne widmo matury zaczęło nam coraz mocniej ciężyć na sercu. Ten ucisk zwiększył się jeszcze w dusznem powietrzu krakowskiem, a płuca nasze z żalem wspominały świetne czasy pienińskie. Pokrzepieni moralnie i wypoczęci z niesłychaną odwagą spoglądamy teraz w przyszłość, wierząc, iż chyba matura blizka nie da nam się gorzej we znaki niż ów marsz kilkudniowy. Bogaci w doświadczenie wycieczkowe roimy coraz to śmielsze plany przebywania niebosiężnych szczytów i t. d.

Udanie się naszej wycieczki zawdzięczamy świetnej pogodzie zamówionej na kilka dni przedtem oraz pp. profesorom, którzy w prawdziwie koleżeński sposób z nami przestawali, a niejednemu nowicjuszowi dużo radami swemi pomogli. Zdrowo i cało, opalone i zadowolone wróciły owieczki do domu ku wielkiej uciesze rodziców.

Wspomnienia i obrazy z tej prześlicznej niezapomnianej wycieczki głęboko się wryły w serca nasze, a mnóstwo dokonanych zdjęć utrwaliło nam ważniejsze momenty i przepiękne krajobrazy pienińskie.

STEFAN KAMOCKI (Proszenie, pow. piotrkowski).

Znaki na niebie i ziemi, zwiastujące wojnę światową

Nim świat dowiedział się z gazet o wybuchu wielkiej wojny, lud wiejski dawno już zapowiadał tę klęskę narodów.

Straszna była zima 1914 roku! Mnóstwo ptaków marzło z powodu ostrych mrozów. Czasami mąciły zimę burze, a grzmoty przerażały ludzi. Po zachodzie słońca długo widniały na niebie czerwone słupy ognia, rozstrzelonego na wsze strony. Wiosnę poprzedziły roztopy, a nagłe powodzie zniszczyły wiele pól. Po takiej zimie spodziewano się skwarnego lata. I przyszło. Co nie wymarzło w zimie, czego woda nie zabrała na wiosnę, to wypaliło słońce w lecie. „Istna kara Boża nadchodzi“ powiadali starzy ludzie. I zaraz znaleźli się tacy, którzy w gwiaździstą noc widzieli na niebie trumnę z zatkniętym krzyżem, a obok dwa miecze. W tydzień potem zobaczył ktoś między czerwonemi słupami wysoką postać, która wyciągniętą ręką wydawała rozkazy. Miał to być posłaniec Boży, który ogniem i mieczem i krwią wymierzy karę grzesznemu ludowi i we wspólnej mogile go pochowa Olbrzymie chmary wron szukały żeru. A potem całemi gromadami spadały gwiazdy, świadcząc, że wiele dusz zejdzie z tego świata. Wreszcie przyszło zaćmienie słońca i żałobny cień padł na cały świat.

Aż przyszła wojna światowa...

Kosmetyka ludowa.

Pryszcze. Jeśli kto ma na twarzy pryszcze, niech idzie przed wschodem słońca na łąkę i za trzecią granicą obetrze sobie twarz zrosiałą trawą. Chrosty zginą. (Lubochnia, Podmałecz, pow. rawski).

Piegi usuwa mycie twarzy w kobylem mleku. (Buczek, pow. opoczyński).

Liszaje usuwa obmycie twarzy rosą z szyb (Miedzna Drewniana, pow. opocz.), ale trzeba zbierać rosę gęsiem piórkiem wczas rano (Góra, pow. rawski).

Aby się nie opalić w lecie, należy obmyć się wodą z ostatniego śniegu marcowego (Białaczów, pow. opoczyński).

Gładką cerę daje umycie twarzy w serwatce (Ręczno, pow. piotrkowski), w wodzie po pierwszym śniegu w jesieni (Tomaszów Maz. pow. brzeziński), w wodzie, w której płukały się kraszanki czyli pisanki (Studzianna, pow. opoczyński) lub przemywanie twarzy słodką śmietaną (Góra, pow. rawski).

Na porost, delikatność i połysk włosów pomaga mycie głowy w odwarze korzeni i kłączów tataraku (Mroczkowice, pow. rawski). Łysemu nic to nie pomaga.

Poczernić włosy można mieszaniną spirytusu z prochem strzelniczym (Starzyce, Wilanów, Tomaszów).

Rumieńce na twarzy uzyskuje się przez zjadanie codzień po kilka leśnych mrówek (smacznego apetytu!) Czasami sprawia to skutek przeciwny. Istnieje piosnka: „Chodziła po lesie, wszystkie mrówki zjadła,

„Chciała być czerwoną, jeszcze więcej zbladła“. (Węgrce, pow. sandomierski).

Guz spędza się z głowy, okrążywszy go trzykrotnie grzebieniem (Ciebłowice, pow. opoczyński).

Odrośnie ząb wtedy, jeśli wyrwany ząb wyrzuci się na piec poza siebie, mówiąc: „Macie, myszy, zęby drewniane, A dajcie mi kościane“, (Ciebłowice).

Jęczmień na oku usuwa taki zabieg: Trzeba przed wschodem słońca stanąć w oknie i zawołać „jęczmień na oku“, na co jeden z domowników, stojący poza domem, odpowiada: „Czekaj z pół roku“ Zaklęcia te powtarza się trzykrotnie, spluwając głośno za każdym razem. Potem, jakby ręką odjął (Lubochnia, pow. rawski). Gdyby jednak nie pomogło, trzeba przemyć oczy rosą z szyb. Stanąć na jednej nodze dotknąć oka trzy razy i za każdym razem trzy razy splunąć (Mniszków pow. opoczyński). To już z pewnością pomoże.

Brodawki na rękach obwiązać każdą z osobna nitką, potem zdjąć oczka z węzełkami i wrzucić do wody. Gdy nitki zgniją, zginą brodawki (Góry Wysokie, pow. sandom.). Albo: wejść do wody, odrapać największą z brodawek, a krew puścić z biegiem wody. Potem wrócić do domu, nie oglądając się (Ciebłowice, pow. opocz.).

Brodawki na nogach usuwa się trzykrotnem „ogarnięciem“ nóg piekarskiem „pomietlem“. Trzeba to czynić pokryjomu przed ludźmi (Buczek, pow. opoczyński).

Przygotować taką ilość grochu, ile jest brodawek, potem każdem ziarnkiem pocierać „kurzajkę“, a groch rzucać do strumienia. Wrócić do domu, nie odwracając głowy.

Kośćmi starych zwierząt, znajdującemi się na polu, pocierać brodawki, odmawiając Ojcze nasz i Zdrowaś Marjo.

Jak uniknąć brodawek? Nie dotykać się ani ręką, ani nogą białego krzemienia, gdyż on to zaraża ludzi „urzajkami“ (Strucki T., Wolbórz).

Szczegóły zebrane przez Sekcję Krajoznawczą uczniów Państw. Seminarjum naucz. w Tomaszowie Mazow.

Humor a przesądy ludowe.

Spotkałem raz znanego pijaka w naszej wsi i zapytałem się go, czy próbował kiedy odzwyczaić się od picia wódki. Odpowiedział mi: „Nie próbowałem, bo mnie już nic nie pomoże. Raz na weselu wsypał mi ktoś do kieliszka wiórek, ustruganych z kaczego dzióba i od tego czasu muszę pić wódkę, jak kaczka wodę“.

Jan Maciejek, Lubochnia, pow. rawski.

* * *

Zdarza się, iż pasterz wyganiając cielę ze „szkody“, uderzy je kamieniem tak silnie, iż zemdleje ono. Wtedy powinien pasterz przeżegnać się dwa razy i zrobić trzynaście koziołków. Uzdrowione bydlę zerwie się i zadarłszy do góry ogon, powróci na pastwisko zupełnie zdrowe.

Feliks Mazur, Węgrce, pow. sandomierski.

Pewna Żydówka dostała łuszczki na oku i poszła po poradę do znanej znachorki. Zażegnywaczka posadziła ją na krzesło i patrząc pacjentce w oczy, zaczyna zażegnywanie łuszczki od słów: „Fik, mik — dominik, tego bólu nie ma nikt". — Oj, już mnie nie boli — wykrzyknęła żydówka — ile się należy? *Feliks Pruszczyk, Gora, pow. rawski.*

* * *

W dzień wigilijny stara się każda gospodyni „obrządzić" dom przed zachodem słońca, a śmieci wyrzucić na śmietnik sąsiada, aby robactwo, brud i zaraza omijały jej dom, a przeniosły się do sąsiada. — Czy to jest skuteczne? — zapytałem znajomego parobczaka, który przyjechał z wojska na urlop. Ano skutkuje — odpowiedział — bo co roku mamy inny brud, skoro jedna baba wyrzuca drugiej na podwórze swoje śmieci. *Eug. Zieliński, Miedzna Drewniana, pow. opoczyński.*

* * *

Pędzi chłop wieprzka na targ. — Coście tacy smutni gospodarzu? — Ano — powiada — ogon nie skręca się w kółko. Mało wezmę — cóż nie mam być smutny? *W. Skorupiński, Tomaszów Mazow.*

Spowiedź chłopa.

Szedł chłop ze synem na jarmark i wiedli wołu. Gdy przechodzili koło kościoła, chłop powiada:

„Downo cłek nie beł u spowiedzi, a wartoby zrócić te starum kapote. Antoś, zacekoj tu!"

Wszedł do kościoła, klęknął przy konfesjonale, a że mu się spieszyło, więc przeżegnał się tak: W Imię Ojca i Ducha św. Amen.

— A gdzie masz Syna? — zapytał się ksiądz.

— Stoi z wołym za kościołym — odrzekł chłop.

— Co ty pleciesz?

— Kosołki, półkoski, miarecki — co sie do — odparł chłop.

Ksiądz, sądząc, że ma z głupim do czynienia, kazał mu odejść od konfesjonału. *Wł. Switkowski, Ciebłowice, pow. opoczyński.*

Wilk i chłop.

Spotkał raz wilk chłopa i powiada: Zjem cię!

— A nie brzydziłbyś się? — rzecze chłop. Patrz jaki brudny jestem — brzuch ci się zapaskudzi. Pozwól mi się umyć, a potem możesz mię zjeść, jeśli łaska.

Wilk zgodził się. Chłop poszedł nad wodę, urżnął grubą, dębową pałę, schował ją pod kapotę i idzie do wilka. Wilk otwarł paszczę, a chłop woła: Zaraz, nie tak prędko! Widzisz przecież, żem mokry — flaki ci pogniją. Daj ogona, to się obetre. Wilk zgodził się. Chłop okręcił sobie ogon wilczy koło ręki, wyjął z pod kapoty pałę i dalejże bić wilka. Wilk szarpnął się i urwał sobie ogon.

Pobiegł do lasu, zwołał gromadę wilków i wio, na chłopa!

Chłop ze strachu wyspinał się na drzewo. Wilki, chcąc go dostać, wychodziły jeden na drugiego, aż utworzyły wysoką kupę, a ten bez ogona stał na samym spodzie.

Wtedy chłop zawołał: A gdzie ten kusy?

Wilk bez ogona zerwał się ze strachu, a cała kupa wilków runęła na ziemię. *Wł. Switkowski, Ciebłowice, pow. opoczyński.*

Bójka czarownic.

Z łatwowierności naszego ludu korzystają różni oszuści którzy włócząc się po wsiach mianują się czarownikami. Jeśli kto narazi się im, wtedy rzucają na człowieka szczyptą ziółek, które noszą w woreczku i szepcą złowrogo: „żebyś ścieńcoł, jak becka, abo spuchł, jak włos“. Owi oszuści wyłudzają od ludzi różne datki, przy czem chwytają się różnych sposobów. Np. jeden „czarownik“ prosił pewną gospodynię o śmietanę. „Oj panie — rzecze gospodyni — mleka mam mało, a śmietana mi się nie zsiada“. No pewnie — pochwytuje „czarownik“ — skąd możecje mieć dużo mleka, kiedy wasza sąsiadka waszem mlekiem się bogaci. Posłuchajcie — szepce oszust — w najbliszą niedzielę, gdy ludzie pójdą do kościoła, włóżcie sobie na głowę szkopek i idźcie w koszuli za okno swej sąsiadki — zobaczycie jak ta czarownica robi masło z waszego mleka! — zbijcie ją i odbierzcie jej wasze mleko. Za tę poradę otrzymał czarownik półkwarcie masła, poczem poszedł do owej sąsiadki i kazał jej w niedzielę rozebrać się, włożyć na głowę szkopek i robić masło i czekać aż czarownica z podobnym szkopcem zjawi się za oknem. Gdy ją ujrzy, ma ją zbić, aby jej mleka nie odebrała. Nietrudno odgadnąć jaki był wynik intrygi „czarownika“. Kobiety pobiły się, krzycząc: Oddaj moje mleko! Ty moje! Ty djablico!... Mało ci swego masła!... A neści!... A ty neści i t. d.

Wrzask bijących się bab zwabił zbiegowisko ludzi, którzy śmiali się, że babom nie tylko rozumu i mleka brakuje, ale i ubrania.

Józef Saternus, Buczek, pow. opoczyński.

Z życia organizacyj krajoznawczych.

Sprawozdanie z działalności Koła Krajoznawczego w Kutnie za rok szkolny 1925/6. Utworzone z inicjatywy byłego naszego Dyrektora, obecnie p. Kuratora K. Kostro, Koło Krajoznawcze wysunęło jako najważniejszy cel: zapoznanie najszerszego ogółu młodzieży szkolnej z pracą krajoznawczą.

Być może, że nie wszystko uczyniliśmy, by sprostać doniosłym hasłom naszego statutu, na obronę naszą przytoczyć możemy to, że Koło powstało przy końcu roku 1925. nie miało więc nawet czasu do uczynienia wszystkiego. Staraniem Koła urządziliśmy dwie wycieczki: do Oporowa i Włocławka.

Wycieczka do Włocławka. Dnia 28-go kwietnia br. odbyła się wycieczka do Włocławka. Zebraliśmy się na dworcu kutnowskim o godzinie wpół do szóstej rano. Pogoda naturalnie była idealnie wycieczkowa — deszcz padał, wiatr dął niezgorzej, a temperatura była odpowiedniejsza na styczeń, aniżeli na kwiecień. Około godziny szóstej nadszedł nasz t. zw. „wołowy“ pociąg. Wkrótce opuściliśmy rodzinny gród. Trzeba przyznać, że nasz pociąg w zupełności dostosował się do swego przezwiska — nietylko posuwał się naprzód żółwim krokiem, ale stawał na każdym przystanku, niekiedy nawet cofał się o kilka kilometrów. Humory jednak wycieczkowiczów musiały być nienajgorsze — skoro wagon cały drżał od śpiewów i dowcipów. Wreszcie, około godz. 8-mej stanęliśmy na dworcu włocławskim, skąd zaprowadzono nas na pensję im. Marji Konopnickiej, gdzie mogliśmy się trochę ogarnąć i zjeść śniadanie Zwiedzanie miasta rozpoczęliśmy od kościółka św. Witalisa, w którym odprawia się nabożeństwo tylko raz w ciągu roku, mianowicie

w dzień patrona. Mieliśmy szczęście, gdyż w tym właśnie dniu znajdowaliśmy się we Włocławku. Weszliśmy więc do starożytnego kościółka; wkrótce jednak podążyliśmy ujrzeć pomnik płk. Becchi'ego, znajdujący się w pobliżu katedry. Następny przystanek był na Szpetalu, gdzie znajduje się pomnik ku czci poległych bohaterów z czasów najazdu bolszewickiego w 1920 roku. Samochodem przejechaliśmy na prawy brzeg Wisły, gdzie zwiedziliśmy wnętrze katedry z wieku XV-go i wzorowo urządzoną szkołę techniczną. Po przerwie objadowej zwiedziliśmy muzeum krajoznawcze, klasztor OO. Paulinów i muzeum w seminarjum duchownem. Około godz. 4 popoł. wróciliśmy na pensję i, zabrawszy wszystkie nasze pakunki, udaliśmy się na przedstawienie „Fenicjanek" Sofoklesa. Po skończonem przedstawieniu wyjechaliśmy do Kutna, wspominając przyjemnie spędzony dzień w Włocławku.

Wycieczka do Oporowa. Dnia 10-go czerwca b. r. odbyła się wycieczka do Oporowa pod kierownictwem pp. prof. Piekarczyka i Piniarowiczówny. Wycieczkowicze zwiedzili zamek, kościół oraz dawny klasztor Paulinów, w którym odbywał ongiś nowicjat ks. Augustyn Kordecki. Zamek, otoczony pięknym parkiem pochodzi wraz z kościołem i klasztorem z pierwszej połowy XV-go wieku. Posiada basztę, kaplicę i osłonięty licznemi strzelnicami krużganek. Jedynie dach oraz futryny okien pochodzą z czasów ostatnich. Między innemi osobliwościami można było podziwiać wspaniałe, pamiątkowe pistolety, które ofiarował niegdyś król Joachim Murat ks. Józefowi Poniatowskiemu. Do pistoletów był dołączony własnoręczny list króla Murat'a w języku francuskim. Oglądano również komnatę, z którą jest związana historja o „białej damie", oraz oryginalny karcer średniowieczny, znajdujący się także w murze, na podworcu zamkowym. Następnie zwiedzili uczniowie kościół, zbudowany równocześnie z zamkiem w stylu gotyckim przez biskupa Wład. Oporowskiego. Jedynie górna część kościoła, spalona w 1770 r., została odbudowana w stylu odrodzenia. Oryginalna niezmiernie jest grubość murów kościoła, które w pobliżu ołtarza dochodzą grubości 3 metrów. W późniejszych już czasach została wybudowana część budynku, łącząca obecnie dawny klasztor z kościołem. Wewnątrz kościoła znajdują się różne pamiątkowe tablice (m. innemi Sołłohuba, wojewody witebskiego).

Wreszcie po dłuższym odpoczynku i posiłku, przeplatanym zwierzeniami z doznanych wrażeń, wyruszyli młodzi podróżnicy w drogę powrotną o godz. 4 popoł., oczarowani urokiem miejscowości, oraz gościnnością gospodarzy.

Każda wycieczka przyczyniała się do rozwoju Koła. Podczas gdy w pierwszej wycieczce wzięło udział zaledwie 34 uczniów, w drugiej 74; Szkoda, że projektowana podczas wakacyj wycieczka w Tatry nie doszła do skutku.

Wśród zbiorów naszych na uwagę zasługują: Dokumenty miasta Kutna przeszło z przed 100 laty, monety z dawnych lat, krzyż św. Anny z czasów Aleksandra I, oraz fotografje z wycieczek.

Stan kasowy wynosił przy końcu roku około 50 zł. Pieniądze te w najbliższym czasie zostaną zużytkowane na zakup gablot do zbiorów entomologicznych. Koło prenumerowało: „Orli Lot" i „Ziemię".

Zmiany tegorocznego zarządu są następujące: na sekretarza powołano kol. Oyrzanowskiego, na skarbnika kol. Minicha. Prezes pozostał ten sam. Nowoobrany zarząd niezwłocznie przystąpił do pracy. Opiekunem Koła jest obecny dyrektor p. K. Wolanin. *Jan Stefanowicz,* prezes.

Koło Krajoznawcze w Bochni. *Z listu prof. Galasa do redaktora „Orlego Lotu"*. Dziś dopiero chwytam za pióro, aby Panu Profesorowi serdecznie podziękować imieniem własnem oraz naszego Koła za trudy poniesione około wydania numeru bocheńskiego „Orlego Lotn". Gdyby Pan Profesor widział radość wszystkich uczniów z powodu tego numeru, poświęconego wyłącznie tutejszym okolicom, byłoby to największą nagrodą dla Pana Profesora. Z jakiem zaciekawieniem oglądali fotografje i czytali artykuły! Ogółem sprzedałem 350 egzemplarzy uczniom wszystkich klas od pierwszej poczynając. Koło nasze też bardzo zyskało na powadze i znaczeniu w gimnazjum. Każdy uznaje, że jest jakiś widomy znak pracy w Kole. Jeżeli obecny zapał utrzyma się nadal, to niewątpliwie także w przyszłym roku zbierzemy dość materjału na nowy numer. Już teraz zgłaszają się do mnie uczniowie z zapytaniem, czy mogą opisać pewne zwyczaje świąteczne mniej znane. To zainteresowanie obudził też wykład p. Udzieli, który zaszczycił nas swoją obecnością 9-go bm. i wygłosił odczyt p. t. „O duchach". Cieszy mię to wszystko, zwłaszcza, gdy sobie przypomnę ciężką zeszłoroczną pracę w Kole, i pobudza do tem troskliwszej opieki nad Kołem. Odbyliśmy też dwie wycieczki, celem pozna-

nia kopca w Moszczenicy i grodziska w pobliżu Bochni, o którem sam dowiedziałem się dopiero w czasie włóczęgi wakacyjnej za nazwami topograficznemi. Wróciliśmy z teczką pełną skorup różnych urn i z wielką radością i zapałem, mimo, że go deszcz chciał zagasić. Mam nadzieję, że w niejednem przysłużymy się nauce i uczonym Od kol. Gadomskiego już mam obiecany odczyt o jego podróży po Bałtyku i będę korzystał z jego wiedzy i zapału. Dobrze się zaczął dla nas ten rok szkolny. Może i z końcem roku będziemy mogli być z niego zadowoleni.

Z książek i czasopism.

„Pedagogjum“. Rok II. Nr. 8—9. Obok bardzo interesującego artykułu prof. P. Z. Dąbrowskiego: „Uświadomienie zawodowe naszej młodzieży seminarjalnej“, znajdujemy artykuł ściśle łączący się z zadaniami „Orlego Lotu“, p. t. „Krajoznawstwo a seminarja nauczycielskie“, którego autorem jest prof. T. Seweryn, znany czytelnikom naszym jako niestrudzony opiekun Koła Krajoznawczego uczniów Seminarjum w Tomaszowie Mazowieckim.

„Nasz Widnokrąg“. Kwartalnik krajoznawczy, organ Kółka Krajoznawczego im. Dra Wilibalda Bessera Bratniej Pomocy Młodzieży Liceum Krzemienieckiego. Nry 2—3 są poświęcone opisowi Krzemieńca i okolicy. Treść: 1) Od Redakcji, 2) E. Mielnikowa: Położenie i granice powiatu krzemienieckiego. 3) K. Jastrzębski: Z geologji okolic Krzemieńca. 4) J. Czerniejewska: Krajobraz okolic Krzemieńca. 5) M. Woźnowski: Szkic klimatu okolic Krzemieńca 6) K. Karpiński: Kilka uwag o florze i faunie powiatu krzemienieckiego. 7) A. Berezowski: Ludność powiatu Krzemienieckiego. 8) M. Adamowski: Osadnictwo wojskowe w powiecie krzemienieckim. 9) M. R.: Kilka słów o architekturze Krzemieńca. 10) Leta: Podanie o górze królowej Bony. 11) Wł. Kraciuk i J. Czerniejewska: Rzut oka na dzieje Krzemieńca. 12) Sprawozdanie z działalności „Kółka Krajoznawczego“ za rok szkolny 1924/25. 13) Z. J.: Nasze Hasła 14) Bibljografja. 15) Drobne wiadomości. 16) Podziękowanie. 17) Ogłoszenia.

„Czasopismo Geograficzne“. Rok 1926. Nry 1—2. Na uwagę zasługują artykuły: dr. Niemcównej „Na drodze ku wielkiej przemianie“ i prof Sochackiego „Referaty geograficzne“. W pierwszym szkicuje autorka projekt wyposażenia szkoły polskiej w środki pomocnicze służące do pogłębienia nauki geografji i podkreśla to, jak wiele już w Polsce w tym kierunku zrobiono — w drugim autor żąda, aby wprowadzić dla uczniów starszych przymus wycieczek dalszych i aby wymagać od nich piśmiennych sprawozdań z każdej wycieczki.

„Przyrodnik“, Rok III. Zeszyt 4—5, zawiera: Dr Wład. Szafer: Z życia kwiatów Inż Al. Kamkin: Azbest i jego ważniejsze dla techniki właściwości. J. Zaćwilichowski: Z życia rączyc. K Strawiński: Sprzymierzeńcy nasi wśród owadów w walce ze szkodnikami roślin. Dr. Ant. J. Żmuda: Z dziejów botaniki przed Lineuszem. Dr. K. Simm: Egzotyczny mieszkaniec naszych cieplarń. A. Kożdoń: Najnowsze poglądy na rozwój gwiazd. Książki i czasopisma nadesłane do Redakcji. Komunikaty.

Edward Rosset. Alkoholizm w Łodzi w świetle badań statystycznych. Łódź 1925. Nakł Sekcji do walki z alkoholizmem przy Magistracie M. Łodzi.

Edward Rosset. Zagadnienie gospodarki samorządowej miasta Łodzi. Łódź 1926. Nakł autora.

Ks. Józef Makłowicz. Z humoru religijnego. Lwów 1926. Nakł. autora.

Antoni Bolesław Dobrowolski, członek Belgijskiej Wyprawy Antarktycznej: **Wyprawy polarne.** Historja i zdobycze naukowe, z 85 rycinami w tekście, 5 planszami i 2 mapami biegunów, wydanie drugie, Warszawa 1925.

W polskiej literaturze geograficznej do dzisiaj jeszcze nader ubogiej bardzo, poczestne miejsce zajmują prace Dobrowolskiego. Kiedy do sfer specjalistów przemawia autor głównie badaniami nad lodem i zagadnieniami meteorologicznemi — to szerokie masy polskiej publiczności a głównie młodszych pokoleń ujął sobie wartościowym i barwnym przedstawieniem historji wypraw polarnych oraz analizą problemów, przed któremi stają ci ofiarni badacze, co życiem często opłacają swój trud naukowy Wydanie drugie dzieła Dobrowolskiego jest dowodem, że nie zacieśniamy się zupełnie do tropienia wypadków naszego podwórza, lecz mamy otwarte oczy na wysiłki całej ludzkości, podejmowane w imię nauki czystej „Wyprawy polarne“ Dobrowolskiego dają nam właśnie taki rzut oka na trud podjęty

przez najodważniejszych, w warunkach nader trudnych w krainach półrocznej nocy czy mdłego dnia biegunowego.

Książka w swej treści rozpada się na dwie części: historyczną i rzeczową. Obie części się uzupełniają a chociaż treści nie obciążono cytowaniem źródeł — ścisłość zestawienia wynika i ze znajomości zagadnienia i sposobu ujęcia przez autora. Dla nas tem aktualniejsze jest historyczne ujęcie wypraw polarnych, że autor stara się także wciągnąć w nie ostatnie wojenne, czy powojenne wyprawy biegunowe.

Wdzięczność należy się autorowi za pracę, dzięki której możemy śledzić z zapartym oddechem owe bohaterskie wysiłki garstki najszlachetniejszych, którzy mimo głodu częstego i w okropnych warunkach klimatycznych wykonują sumiennie, punkt po punkcie, obszerny i wielostronny program wypraw. W czasach, gdy materjalizm przeżera dusze ludzkie, gdy nawet warunki zdobycia sławy zostały zupełnie zniekształcone, Dobrowolski wskrzesza przed naszemi oczyma szereg postaci, których poświęceniu trudno jest znaleźć odpowiedniki, a których trud przeważnie kończył się bohaterską śmiercią. Dobrze jest pod wpływem lektury „Wypraw polarnych" strząsnąć z siebie pospolitość, która „włazi w duszę, oczy" i spojrzeć na świat z punktu widzenia wartości wieczystych. Przejdźmy do treści pracy. Po krótkim wstępie i zarysie horyzontu geograficznego starożytnych autor podkreśla znaczenie wędrówek mnichów irlandzkich, Normanów oraz myśli przewodnie wypraw w celu wyszukania przejścia północno-zachodniego i północno-wschodniego. Musimy sobie uświadomić, że nie idee naukowe były tu bodźcem, prącym ku realizacji badań polarnych, lecz myśl odkrycia dróg do dalekich, bogatych krain wschodu. Rola Anglików przodująca w tych wyprawach może częściowo wywołana także stosunkami lokalnemi Anglji nie da się tu zaprzeczyć.

Autor zupełnie słusznie traktuje odrębnie historję Arktydy i Antarktydy kolejno omawiając wyprawy odkrywcze.

Jakże ożywiają się nam wszystkie zatoki i półwyspy krajów polarnych — jak wiele nam mówią nazwy, i jak silnie w naszej wyobraźni utrwala się krajobraz okolic biegunowych i ciężka tam walka człowieka o byt.

W części rzeczowej autor wychodzi z analizy kartograficznej krajów polarnych i stopniowo szkicuje ukształtowanie pionowe badanych terenów podkreśla silnie zagadnienie magnetyzmu ziemskiego, zórz polarnych wreszcie problemów klimatycznych. Autor, specjalista w zagadnieniach opadów śnieżnych i pokryw lodowych poświęca więcej nieco miejsca problemowi lodu morskiego i lądowego oraz podkreśla geograficzne rozmieszczenie biegunowej pokrywy lodowej odmiennie występującej na wolnem morzu Arktydy; na lądzie Antarktydy pokrywającej obszar piętnastu prawie miljonów km^2 płaszczem lądolodu. Iście geograficznie ujął swe zadanie autor; widzimy to w dążeniu do przedstawienia całokształtu obrazu okolic biegunowych. Prócz analizy zagadnień oceanograficznych wprowadza także analizę biogeograficzną chociaż i fauna i flora występują tu bardzo skąpo. I człowiek nie uszedł uwagi Dobrowolskiego — naturalnie o ile chodzi o okolice północne lub krańce wyklinowane południowych kontynentów.

Bogate ilustracje starannie wydane uzupełniają tę wartościową pracę, która powinna się znaleźć w licznych bibljotekach geograficznych szkolnych i nauczycielskich. *St. Niemcówna.*

Cena zeszytu pojedynczego (16 stronic) z przesyłką pocztową 40 gr., zeszytu podwójnego (32 stronic) 80 gr. bez przesyłki 35 gr. wzgl. 70 gr. Przedpłata roczna 4·— zł.

Poszczególne numery można nabywać w Krakowie w księgarni Gebethnera i Spki.

Wszelkie przesyłki pieniężne, zwroty niesprzedanych egzemplarzy, należy skierować pod adresem: **Księgarnia „Orbis", Kraków-Dębniki, Barska 41.** Najdogodniej jest wysyłać pieniądze czekiem P. K. O. na konto 401.101. Na odpowiedzi załączyć znaczek pocztowy.

Redaktor: Leopold Węgrzynowicz, Kraków I., Krowoderska 74, II p.
Administracja: Kraków-Dębniki, Księgarnia „Orbis".

Nakładem i drukiem „Orbisu" w Krakowie.

TREŚĆ ROCZNIKA VII. „ORLEGO LOTU"

Bogusz J.: Jak ładować mleko . . . 143
Bujak Stef : Śmigurt w Lubomierzu . 124
Byczek Stan.: Obuwik pospolity . . 142
Bzikoko Jadw.: Humor krajoznawczy 31, 46
Cała Michał: Bartnictwo w powiecie rawskim 105
Chłopkówna Janina: Gromnica w okolicy Piasków 138
Defert Henry: Obozowanie 21
Do wszystkich Kół 82
Dwudziestolecie P. T. Kr. 146
Epstein Jerzy: Wycieczka w Pieniny 151
Fijałkowski M.: Stare drzewa . . . 143
Gałuszka J.: Czem-że? 6
Gołkiewicz M.: Wrażenia z Orawy . 7
— Nie pomnę już 8
Goworek Z.: Lasy spalskie 51
Grzeszczak J.: Stare drzewa 142
Gwarda A.: Głazy wielkie 140
— Rady wiejskiego znachora . . . 143
Humor a przesądy ludowe 155
Janowski Al.: Dwie mogiły 3
Jarosz T.: Topienie Judasza 122
Jaskolski J.: Sposób na jastrzębie i kanie 59
Jubileusz P. T. Kr. 126, 144
Kamocki St.: Skąd dusze Francuzów wracają do swej ojczyzny . . . 59
— Znaki na niebie i ziemi zwiastujące wojnę światową 154
Kapała Ant.: Podanie o Niebieskich Źródłach 110
Kędziora Wł.: Budownictwo wsi opoczyńskiej. Wieś Kozenin, gmina Janków 55
Kiszczak K.: Nasze jeziora 139
Korybutiak Z. J.: Białorusini 85
Kołodziński Wacł.: Zwyczaje świąteczne w okresie świąt Bożego Narodzenia w okolicy Piasków 135
Kotliński Flor.: Krajoznawstwo a szkoła powszechna 130
Kosmetyka ludowa 154
Krystasiak St.: Echa wakacyjne z Białorusi 23, 42, 71
Kubiak Fel.: O zaklętem wojsku chłopskiem na Mazowszu 58
Lach St.: Przydrożne kapliczki . . . 104
Litwa 83
Łysik St.: Po „oracji" 120
M. J.: Ochrona przyrody 26
Maciejek J.: Romański kościółek św. Idziego w Inowłodzu 51
— Gdy wiosennego wieczora . . . 60
— Przysłowia wiejskie 155
Malej Br.: Grota piaskowa w Smardzewicach nad Pilicą 100
Matuskówna E.: Loczego nasza rzyka nazywo się Sirotka? 140
N.: Kiedy zbudowano drogę z Piasków do Zamościa 140
— Pieczowisko 142
Niemcówna St.: Z moich wędrówek 15, 40, 69
— Ś. p. Stanisław Sobiński 147
Obozowanie w praktyce 34
Odezwa Muzeum Ziemi krakowskiej 76
Odezwa Państw. Rady Ochr. Przyrody 94
Od redakcji 2
O pracy w kołach krajoznawczych młodzieży 66
Panfil J.: Humor ludowy 61
Piórówna Czesł.: Opis zamku w Gardzienicach 132
Piotrowski Eug.: Lud u Reymonta . 5
Początki organizacji kół krajoznawczych młodzieży 75
Podbielski K.: Zabytki przedhistor. w wydmie za Siedliszczkami . . 141
Program Walnego Zjazdu Delegatów Oddziału Pol. Tow. Krajoznawczego w Grudziądzu 77
Pruszczyk Fel.: Golenie młodziaka . 109
Przybylski A.: Co znalazłem pod pokładami torfu 141
Rodziewicz E.: Wielkanoc na ziemiach wschodnich (Wileńszczyźnie) . . 89
Rośliny i ptaki jako księga meteorologji ludowej 110
Sadłowski T.: Strony rodzinne Żeromskiego 4

Saternus J.: Bójka czarownic 157
Seweryn T.: Polska kapliczka . . . 6
— Ludowe figurki Chrystusa Frasobliwego 9
— Legendy o Chrystusie Frasobliwym 38
— Świątkarze i ich rzeźby 67
Skorek A.: Jak uczeń może przyczynić się do rozwoju nauki o krajozn. 131
Skorupiński B.: Jak oszukać djabła Rokitę 61
— Król Jan III. w tradycji ludowej . 109
Ślązak Stef.: Groty Nagorzyckie nad Pilicą 98
Ślizowski St.: O „kuli" 119
Sperczyński Wł.: Miłosław 13
Sprawozdanie Koła Krajoznawczego:
w Bochni 126
w Krakowie Gimn. V 29
— — Gimn. VII 79, 127
w Kutnie nad Ochnią . . . 29, 79, 157
we Lwowie Sem. i gimn. im. Z. Strzałkowskiej 127
w Ostrowie Pozn. 79
w Mławie 47
w Sandomierzu 79
w Stopnicy 28
w Strzyżowie 28
w Tomaszowie Mazowieckim . . 111
w Warszawie 29
w Wilnie 79, 95
Stankiewicz Ant.: Z pasyjką 57
Świtkowski Wł.: Powąskowe czary . 60
— Spowiedź chłopa 156
— Wilk i chłop 156
Synowiec K.: Pająki — okrasa izby wiejskiej 107
— Obrząd pogrzebu 108
Szkoły jako schroniska dla wycieczek krajoznawczych 91
Udziela Seweryn: Św. Mikołaj w Krakowie przed 70 laty 148
W. Z.: Hanuta 86
Warsicki J.: Kraszanki i „krucki" rawsko-opoczyńskie 53
— Wyrób wełniaków ludowych . . 149
Węgrzynowicz L.: Do Zarządów Kół Krajozn. Mł. 76
Wieruszewski A.: Strój opoczyński . 101
Wiosna nadchodzi 34
Wnęk J.: Grodziska w powiecie bocheńskim 114
— Jak św. Stanisław spał pod kopą siana 125
Wójcik L.: Buki w lesie Brzezickim 142
Wojewódzki B.: Sztuka zdobycia majątku 60
— Zbieranie rosy 60
Woźnowski Miecz.: Czeremoszem do Żabiego 18
Zajączkowski A.: Borek 134
Zieliński Eug.: „Dół Kumów" . . . 111
Zieliński Kaz.: Sobótki w ziemi bocheńskiej 123
Z książek i czasopism 30, 47, 63, 80, 143
Z listu prof. T. Seweryna do redaktora „Orlego Lotu" 50
Z listu prof. Galasa do redaktora „Orlego Lotu" 158